TEGOŻ AUTORA

PEŁNIA CZERWCA, poemat, Chełm lubelski, 1936
Biblioteka grupy literackiej „Wołyń"

DZIEŃ APOKALIPTYCZNY, poemat, wyd. Hoesicka, Warszawa 1938, Arkusz Poetycki pod red. Józefa Czechowicza

CZAS DON KICHOTA, wiersze, Wydawnictwo Światowego Związku Polaków z Zagranicy, Londyn 1946

DNI BIAŁE I DNI CZERWONE, dziennik poetycki, Bruksela, 1947

DZIENNIK Z PODRÓŻY TROPIKALNEJ I WIERSZE O WOJNIE, poemat z lat 1939-1945, odbitka z „Kultury", Toronto 1951

GORYCZE NOCY, poemat, odbitka z „Kultury", Paryż 1951

PIEŚŃ NAD PIEŚNIAMI, poemat, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1953, rys. Józefa Czapskiego

MILCZENIA, wiersze 1949-1959, Instytut Literacki, Paryż 1959

WYBÓR WIERSZY, Instytut Literacki, Paryż 1965, Nagroda Literacka „Kultury" za rok 1964

CIEMNY CZAS, Instytut Literacki, Paryż 1968, Nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego, Nowy Jork 1968

WACŁAW IWANIUK

LUSTRO

OFICYNA POETÓW I MALARZY
LONDYN 1971

Copyright by Wacław Iwaniuk, London, 1971.

Printed in Great Britain by Poets' and Painters' Press,
146 Bridge Arch, Sutton Walk, London, S.E.1.

IRENIE I STACHOWI S Y P U T O M
ZA ICH PRZYJAŹŃ TRWALSZĄ OD ŻYCIA

LUSTRO

Mówią że ja nie cierpię — a kto m y ś l i za mnie
Kto się za mnie przez życie codziennie przedziera
Kto traci siły, kto pada, kto klęka
Komu noc jest torturą
Kogo krwawi sen. —

LUSTRO

Przybliżam twarz do lustra ale lustra nie ma
Szukam rysów mych dłonią ale nie mam dłoni.
Pod turkusowym niebem które nie płowieje
Czysta jak lilia Rózia powraca z kościoła.
Wiem że się w cnotach zanurza jak paw
Pilnuje własnej dumy jak prządka kądzieli
Jeśli mówi, orkiestra instrumentów gra w niej
Jak w parku na Powiślu w słoneczną niedzielę.
Wspominam tamte czasy zamienione w wiór
Z drzewa które się spóźnia nietoperz ulata.
Pod górę po kamieniach prosto na Krakowskie
Przedmieście, biegnie Tamka wyboistym krokiem.
Chciałbym tam być, ktoś słowo ponagla do ucha
Pragnę istnieć, o lustro, pomóż mi wyjść z siebie.
Niestety, błądzę jak król Lear, palce są mi wzrokiem
I byle wiersz ojczysty przebija mnie wskroś.
Chwytam, co mam pod ręką. Może sucha gałąź
Połamana wiatrami, wskaże mi kierunek.
O, ślepy królu Learze, z niedołężnym ciałem
Jak długo można być ślepym i nie wiedzieć o tym.

DWA MIASTA

I too am hungry
and thirsty for justice,
Nazarene
León Felipe

Miałem miasto

Zabrali mi je

Wybudowałem drugie
ukryte i niedostępne
gdzie już nie przyjdą niepowołani
kupcy u jego bram nie będą roznosić
handlowej niezgody.
Stąd żaden telegram nie uleci w świat
żaden polityk nie będzie wygłaszać niepotrzebnych mów.
W świątyniach zamiast kapłanów sami zapalimy lampy
bogów nie będzie wiele
może tylko jeden
i to z krwi i kości
byśmy mogli go karać jak on nas
za cudze winy.

Mieszkańcy przestaną w nim wywieszać chorągwie
propaganda kolorów zniknie
bo symbol zastąpiony symbolem
zniekształca prawdę.
Na słowa nałożymy pokutne kaptury
nie chcemy drapieżnych dźwięków
rozsadzających uszy.
Drobny ton urasta często w groźną gamę
sięga do gardła drapieżną fanfarą
potem unoszą głowy ciężkie działa
pociski krzyżują się z wagnerowskim werblem
nie ma ładu
nie ma sprawiedliwości
a człowiek który to wszystko wymyślił
pierwszy pada ofiarą.

Nie będę już siebie powtarzał od początku
co było — było
żałuję że tych słów nie napisałem wcześniej
mądrość wzięta z popiołów
nie uczy niczego oprócz umierania
muszę teraz wszystko odrabiać na zapas
na dziś i na jutro —
widzieliśmy już nienasyconą żarłoczność kanibali
ich dzikość odwiedza mnie w snach
i otwiera zabliźnione piekła.

2

Dziś nowe miasto wyrasta we mnie: wznoszone
rękoma rzeźbiarzy i czeladników nie
mieszka na siedmiu pagórkach
jest za to po szyję owinięte w zieleń
i oddycha zdrowym powietrzem. Jego historia
zapisana jest w rycinach
pozostawionych na ścianach Ratusza. Wyblakła
akwarela przedstawia polankę
zamieszkałą przez Indian. Z rozpalonych ognisk
jeszcze dziś unosi się wątła smuga dymu
płaskie twarze dzieci i rozbawione psy
odmalował na korze nieznany artysta.
Wodzowie na obrazkach mają czapki z piór
twarze pomalowane w kolorowe pręgi
przyjaznym uśmiechem obdarzają Białych.
Na następnych obrazkach widać te same namioty
zakotwiczony parowy statek na jeziorze
na brzegu zaś Biali wręczają Indianom jakieś świecidełka
z całą pewnością błyszczące paciorki
a ci dają im w zamian puszyste skóry. Pogoda
jest ładna i dym z parowca rzęsistymi skokami
unosi się w niebo, tak jakby przyklaskiwał
malowniczej scenie i pochwalał wielkoduszność
Białych. Następny obrazek przedstawia współczesną

już budowlę, wzniesioną na cyplu, z mocnych
tutejszych okrąglaków i ze strażnikiem w czerwonym
kaftanie, uzbrojonym w napoleońską fuzję. Tu i tam
jest jeszcze kropla dawnego folkloru: dzieci
psy, twarze Indian, kolekcję zaś całą kończy obrazek
pierwszego osiedla; baraki, przystań, karczma
pokaźnych rozmiarów, wszystko to otoczone mocną
palisadą świadczącą że już wtedy coś musiało się
popsuć w państwie duńskim. Indianie prawdopodobnie
połapali się na świecidełkach Białych i odmówili skór.
Tak przedstawiają się początki tego Miasta. W
kronikach wyglądają one chyba barwniej, bo słowo
ma swój biologiczny wdzięk. Dla mnie jednak autentyczne
obrazki na ścianach Ratusza mówią więcej
od zapisanych historycznych kronik.

I na tym właśnie winienem zakończyć
słowa się wyczerpały
moje serce milczy.

CZYJE TO

Czyj to cień —
przy mnie tak chodzi
Czyja to twarz —
tak się do mnie uśmiecha
Czyja to w oknie skroń —
zamiast księżyca
Czyje ręce jak kły —
szturmują do gardła
sypią na głowę sztywny strach
wydłubują ze źrenic przerażenie
Czyje to serce —
bije na alarm jak kościelny dzwon
aż ogłuszona wieża ciała
zapada się w siebie
Czyje to wszystko czyje —
Chyba nasze.

CISZA

Niekiedy myślę że nie wystarczy mi słów
na mój własny plon —
że ruch mój spopieli się
zanim gołębica
sfrunie mu z warg
na ratunek

Niekiedy myślę że bezustannie tonę
i to wszystko —
żadnego świtu
żadnego oddechu.
Twarze oddalają się ode mnie
ruchem odśrodkowym
rysy ich wypełnia cień
i toną raptownie w mroku
jak bryły ołowiu
cięższe o moje milczące czekanie.

Niekiedy myślę że co krok
to bliżej i dalej zarazem —
ziemia kurczowo trzyma się powietrza
i unosi mnie jak głowę topielca.

Niekiedy myślę że na tych wysokościach
wystarczy tylko jeden sygnał —

Cisza.

CO KTO NAZYWA WIERSZEM

Tak, to prawda, poeta
(czysty jak anioł) całym
ciałem trzyma się ziemi:
Zbiera strzępy słów
szczątki westchnień
łączy je niewidzialną
nicią, śliniąc unerwienia,
jak pająk; wypełnia ich
szczeliny prywatną ciemnością,
a na każdym zakręcie
ustawia drogowskazy
kosztem własnych
bolesnych ustępstw,
podobne do marmurowych
okrzyków Homera; a Oni
dziwią się jak
przed fruwającym obrazem
Chagalla gdzie czarna
zawartość ziemi
zaczepia w przelocie o
fioletowe barykady
nieba; gdzie biała koza
z różowym uwełnieniem
pasie się wdzięcznie
w zielonym powietrzu;
a Oni myślą że
to jakiś szarlatan
(nawet nie alchemik)
zniekształcił słowa
powyrywał je z dziąseł
przepisów i reguł
pogwałcił świętą gramatykę
a teraz jak chuligan
cwałuje na czymś
zniekształconym w
bolesny sposób
i nazywa to
w i e r s z e m.

I ZANIM ODDECH OPISZE JEGO KSZTAŁT

Irenie i Jerzemu Jellaczycom

Ptaki które nad naszymi głowami unoszą się codziennie
nie mają w sobie nic z naszego lotu. Ich dzień
wyniesiony pod niebo na ileś tam pięter
jest inny od naszego, ma dalszy horyzont
i dotyka na pewno nie jednej odległej planety.
Czymże żyjemy my, niszczeni codziennością
w naszych z ojca na syna dziedziczonych długach
sprawdzając bezustannie nie spłacony legat.
Czym jesteśmy dla siebie w codziennym chaosie
gdzie nasza własność i nasza wyłączność
obarczone przeszłością nie mogą się wyzwolić.
Gdzie zawsze nawinie się samozwańczy car
lub nowy Mojżesz wniesie nowe przykazania
męczące nas w naszym krótkim życiu.

Rozłupać je jak orzech, wejść, wyśledzić sedno
wyczuć pod palcem, przyłożyć do skroni
i zanim oddech opisze jego kształt, nim poznamy
niepoznawalne dla nas niedostępne wnętrze
musimy chyba wejść w inną orbitę
i z innej odległości spojrzeć na nasz czas
i innych szukać tablic; w innej stronie świata.

Nie ufaj doczesnym świętym
proroków zaś co stale biorą nas na łep
wieszać by trzeba publicznie na rynku.

Wieczór wszystko jak w urnie ułoży
ptaki spoczną, powietrze stanie nieruchome
a my jak lawa pod wewnętrzną siłą
nim wyjdziemy by wszystko niszczyć dookoła
złożymy słowa by czuwały nad nami
ich serdeczna treść
rozpocznie dla nas nową erę.

LIRYK

Smutna jest moja pamięć
Smutniejsza bo n a s z a
Urodzona na oczach mego pokolenia
Między wojną a wojną

Komu surmy gra
I prowadzi na szańce

Co dziś z tego mamy —

Spalone ciała groby i kamienie
Cały nasz r o m a n t y c z n y
Pogrzebowy kram.

CHCIAŁBYM UCIEC BO TRWOGA NISZCZY

Chciałbym uciec bo trwoga niszczy
Ale nie ma dla mnie ucieczki
Chciałbym usiąść na jakimś brzegu
Chciałbym oprzeć głowę o kamień
Przyjąć w oczy łagodny promień
Zamknąć w sobie czas przed odejściem.
Ale nie mam już dawnych źrenic
Ale nie mam już dawnych stóp
Moje ciało mnie opuściło
Odszedł mnie mój własny czas.

PLON

Myślę i myślę jak drzewo owocem
Myślę i myślę — bo co mi zostało

2

Moja ziemia mnie nie poznaje —

Odeszła ode mnie po ostatniej wojnie
Śledzi mnie teraz jakbym był złoczyńcą
Jakbym to ja był w stanie oskarżenia
Jakby nade mną wisiał legendarny miecz
I dłonie sprawiedliwych ważyły m ó j los.

Patrzymy sobie w oczy jak dwie krople krwi.
Ona idąca lunatycznym krokiem
I ja przedzierający się przez włókna pamięci
Ścieżki nasze krzyżują się w snach
Jej syzyfowa praca i mój uparty ruch
Dotykają tej samej bolesnej laguny.

Tam uczyłem się ciskać kamieniem po wodzie
Odłupywać błyszczącą łuskę piany
I w nagim ciele gasić upał dnia
Tam rosłem dla wspólnych potrzeb i uniesień.

Dziś wszystko we mnie odkłada się na potem
Pełznie i pokutuje zawieszone w próżni.

Wiem że muszę przeczekać nieprzychylny czas
Nałożyć tłumik na słowa
Aż po następne zmartwychwstanie.

REKOLEKCJE

Mam w sobie własne mgły i piękne pogody
Pascal

Siłą zamknięci, nie możemy wyjść
Szukamy klucza by otworzyć drzwi
Szukamy siebie w bezradnej podróży
Która rani nam ciało i kości obnaża.

Czas nas otacza niewidzialnym ruchem
Wypełnia słowa, więzi zdania
A niebo tym błogosławi którym piekło sprzyja
I bierze ludzkie życie jak wygrany fant.

W słowach rośnie i ginie uroda natury
Łączy się z ziemią sklepione powietrze
Głosy, kamienie rzucone pod nogi
Zamknąłem w sobie w szczelną obojętność.

Bałem się kiedyś własnego obrazu
Chciałem być kroplą ukrytą pod brwią
Zanim się stoczy z obolałej rzęsy
W niebyt, jak w ciemne dziurawe naczynie.

Po drodze pokutują zapomniane źdźbła
Jałowym kłosem raczą pola
Tak jak je pozostawił i ominął czas
Mokry od rosy o zimnych pazurach.

Ziemia składa swój ornat. Jej bogaty tren
Ukryty po zapolach, cieszy teraz myszy
A dla mnie pozostało jałowe ściernisko
Jak smutny fortel który się nie udał.

Tak wciąż tracimy więcej niż nas na to stać
Człowiek jest tylko fragmentem pytania
Musi pamiętać żeby żyć
I odejść, aby wrócić.

DZIEDZICTWO

Anim nie uszedł
anim nie został
odrabiam dziedziczne zaległości —

nie byłem podróżnikiem
niosłem własny krzyż
rozpłatany jak iskra —

nie układałem niczego na zapas
wykradałem siebie by żyć
i tylko ślepa kula mogłaby zaświadczyć
gdyby umiała mówić —

wziąłem z sobą westchnienie które mnie wydało
żywiłem je szypułkami słów
chodząc po ziemi gorącej jak wulkan
spadałem w przepaść
a kto się bronił krzycząc v e t o
tego dziś nie ma między nami —

w czasach podminowanych codziennym odejściem
byłem sam

i to nas dzieli

nad twoim piekłem czuwał anioł
a nasze dzieci wrzucono do kotłów
z cieczy ich ciał wyrabiano mydło —

to nas dzieli.

NAGIE JAK KOŚĆ

Zamknąć oczy, nie liczyć dni
być ślepym (wiatr nade mną
otyłym ruchem strzepuje popiół)

Czyja to łódź bez dna
na opuszczonym morzu —
czyj to żagiel biało-czerwony
postrzępiony jak szkielet

Czy jest w nim jeszcze miejsce
na wiarygodne słowo —
nie zabrudzone
nie podsłuchane
własne

Czyste, bez przynęty
bez wizy i paszportu

nagie jak kość.

DAR

Tu są moje drzewa przywarte do ziemi
wzdłuż łuku drogi; kępy moich traw
pod szarą maską łapczywego kurzu.
A trochę dalej bolesna tarnina
z podołkiem u nóg uśmiechniętej łąki
uciekającej chyłkiem w pole zielonym warkoczem
gdzie hałas drogi nie dociera.
Tu jest każdy ogrodowy listek
rzeźbiony dłutem serdecznym złotnika
i wypełniony szczęściem. Tu jest kształt
którym sam Michał Anioł mógłby się zachwycać
bo był on przez Naturę spokrewniony z Bogiem
tym staromodnym genialnym Staruszkiem
wypędzonym dziś ze szkół przez nasze Szkolne Rady
mędrców opętanych liczbą zwodniczą i gnuśną
którzy nie wiedzą nic o Nadprzyrodzonym.

Biblia ma zapach śniedzi i ciemnego kurzu
z okładek jej wypłowiało złoto; odeszły słowa
może na zawsze. Serca zdań wyłuskał czas
są jak oczy wyjęte z żywej jeszcze tkanki.

Ci co śpią żyją odrobiną czasu
po przebudzeniu oglądają siebie
zawikłani po szyję w codziennych czynnościach.
Ale ja odwykłem od nich
nie mogę się już przyzwyczaić
i nie widzę potrzeby zmiany starej skóry.
W niej przecież matka wyniosła mnie z łona
ułożyła w jasnościach łóżka
A potem garbowali mi ją jak mogli sąsiedzi.

Wysiadywałem różne kąty w różnych stronach świata
strumienie żalu żłobiły w niej dna
ale nikt wtedy nie śpieszył mi z pomocą.
Owszem — widziałem ręce gotowe się pastwić

uczulone złodziejską chytrością
i oczy które czekały na żer.
Wydaje mi się że przymierze z wilkiem
byłoby wtedy szlachetniejsze dla mnie.

Tak obca chytrość otoczyła mnie
garbując skórę trując słowa
spod nóg stateczną usuwała ziemię.
Alem się wymknął śmierci, jej twardego buta
a skóra jest mi świadkiem jest szkaplerzem
którego już nie zmienię bo jest darem matki.

Z WCZORAJ NA WCZORAJ

Czym jest jutro
którego nie ma
choć wmawiamy w siebie
że będzie —

Jaki jest dzień
który minął
zanim nastał
przeszedł obok nas
wczorajszym krokiem
i tyleśmy go
widzieli —

Czym jest miejsce
którego nie ma
choć mówimy:
Było
więc jest.

EXPERTO CREDITE

Oczywiście że niebo wysycha;
tak głębokie było kiedyś i niezbadane
na przyczółkach gdzie ziemia brała je za uszy
ciemniały lasy; skały łamały sobie ręce
by się wspiąć o centymetr wyżej
by ktoś patrząc pomyślał że nie każda góra
to zaraz Himalaje, jak nie każda kobieta
jest matką. Ale w samym środku
gdzie pełną piersią oddychają zenity
w jądrze zaciemnionym dla nas na zawsze
zawrotną odległością, tam może jeszcze
dogasają olimpijskie resztki
i niebo suto przepasane szarfami dróg mlecznych
jest czyste i doskonałe; tam dzień i noc
mijają się godnie w wąskim przejściu świtu
tam słońce bezbłędnie rozbija atomy
i dwa szlachetne arabskie konie
unoszą Apolla w ozdobnej karocy;
tam na miliony nad nami stóp a może i więcej
gdzie człowiek traci pod nogami grunt
żyją sobie bogowie i nieśmiertelni
gdy my nastawiamy nowoczesne maszyny
i pragniemy dogadać się z drugą stroną
która milczy i nie rozmawia z nami.

ZAMIAST EPITAFIUM

Pani, która tu mieszkała już nie żyje —
chodziła po domu błyszcząca jak kwiat
zatrzymany nagle przez błyskawicę śmierci.
W kuchni która była zalążkiem wszystkiego
otwierała lakierowane szafy i lodówki
podobne do błyszczącej powierzchni księżyca.
Umarła, wyjmując pachnący produkt
z hermetycznego wnętrza. Jej świat
zatrzymany nagle, zamarła w słoikach
i szczelnych puszkach higienicznie opakowanych
w metalowy papier. Jej śmierć porównałbym
do skoku kota. Przyszła tak nagle
że życie nie miało czasu powiązać koniec
z końcem; usunęła się z rąk jak krucha
biblijna manna na spalonej pustyni.
Właśnie zapisywała przy samotnym stole
przy którym kiedyś siadywała z mężem
jutrzejsze wydatki: kiszone ogórki w
słoikach które wyglądały jak nieżywe
dzieci z niedawnych scen zagłady;
pokrojone wzdłuż pokazywały chude żebra
i puste wnętrza przetrzebione obozowym
głodem; tonęły w kwaśnej ciszy i tylko
zielony koper nie poddawał się, jego
ciemne wąsy opryskane rosą miały świeży
elastyczny ruch. Kiedy wyszła z obozu
mówiła że już nigdy nie będzie głodna
gromadziła dla męża kształtne naczynia
wypełnione korzeniami z Cejlonu, pachnące
perskie ziarna, maślane owoce, za którymi
oboje przepadali i demagogię przypraw.
Szczęście było dla nich wewnętrzną sytością
a oni po oszukaniu śmierci wiedzieli już
czym trzeba się cieszyć. Potem gdy została
sama, przynosiła stale do domu kolorowe
papryki, lśniące kaszki i polerowany

ryż; cukry do posypywania ciasta i słodkie
substancje miodów, bo nie wierzyła że
on odszedł na zawsze. Był przy niej —
wiedziała — patrzył na jej ręce
które dla niego teraz żyły. Aż sama
nagle zatrzymała się w ruchu
a po ocknięciu się byli znowu razem.
Tak jak na jawie.

FRA ANGELICO DZISIAJ

Na obrazach Fra Angelico
twarze aniołów są chłodne
i jakby pozostawione po tamtej stronie płótna.
Patrzą teraz na nas z klasztornej odległości
stoją w martwym powietrzu
i mówią słowa których nikt nie słyszy.
Ich pokłon przeczy prawdziwej pokorze
rozkładają nadmiernie duże skrzydła
i drobne ręce.
To może dobre było 500 lat temu
ale nie dzisiaj.
Dziś anioł ma siłę stalinowca
wymusza zeznania i uprawia terror.
Dziś aniołowie są inni i Fra Angelico
miałby dużo kłopotu
gdyby chciał wiernie odmalować ich twarze.

STATEK KOSMICZNY APOLLO 15 W PODRÓŻY NA KSIĘŻYC TRZY HISTORYCZNE DNI

1

Od wielu już lat
nic świętego nie stało się na Ziemi.
Wieczne ognie płoną w Bazylice
i róże kwitną w ogrodach.

Krzyż pochylony nad nami
niewiele dziś mówi.
Znicze wygasły
Nikt nie wierzy w symbole.

A jednak w Poniedziałek rano
gdy rakieta odrzucona wybuchem
uniosła się z Przylądka Kennedy'ego
żłobiąc z trudem spokojne powietrze
otwarły się we mnie dodatkowe wnętrza
które nie były ni z nieba ni z ziemi
a jednak boskie, o złotych baldachimach.
Człowiek pod nimi zamieniał się w Pegaza.

Czasem słowo narasta bielmem
Zapomina że świat się zmienia
Żłobi w nas głuche tunele
Robi krecią robotę.
Czasem pęka jak rozłupany orzech
Gorącą lawą wybucha z wulkanu
i gaśnie. Jego oko
choć błyszczy Mleczną Drogą
i gwiazdą świeci w źrenicy
jest ślepe na nasze sprawy.

2

Moje ścieżki miały ciemne dna
Uniknąłem potopu
Zmęczony odnawiam dziś w sobie
Stare schrony wśród plennej ziemi
Niby pszczoła w szczelinie kwiatu
Niosę w sobie przebyte czyśćce.

Jasność która spłynęła po mnie
Leży dziś zimnym jaszczurem
Pogrzebana pod warstwą popiołu.
Natura zawsze odbierze co dała
Jej lewa ręka nie dowierza prawej
Dlaczego więc ja nie miałbym być zawistny
O mój własny plon.

Niosłem w sobie grudniowe dni
Upadałem jak Rejtan na ziemię
Była wojna, czekałem w cieniu
Nim się liść namyśli w drzewie
Wiosną przyszło omawiać byt
Łutem szczęścia dzielić się z wami
Uzbieranym w piołunach słowem.

Myślałem że się z nocy zdołałem uwolnić
Że się skupię nad słowem i przydam mu złota
Że się we mnie oczyści i stanie pierworodne
Wypolerowane przez mądrych Złotoustych
Piękniejsze od stuły nieba na spokojnej wodzie
Gotowe zawsze zamienić się w płomień
I odejść w suche krajobrazy. Straszyć czyśćcem.

Mam w sobie ślady po tamtych zaćmieniach
Powoli stygnę w księżycowy lej.
Jakikolwiek mam głos, sprawiedliwy lub nie
Chcę jak Mojżesz kuć swoje tablice
Z twarzą tak konwulsyjną by aż ziemia drżała.

O, jak ciężko — poeto — podsłuchać moment przemijania
Być jak karta wyłożona na stole i trwać
Nie ustąpić.

Chciałem krzyknąć: uciekajcie kiedy ciemność trwa
Chodźcie do mnie póki jestem z wami
Chciałem jak kapłan czytać z taśmy Ewangelię
Komentować jej słowa skierowane do was
Łagodnym głosem rzucać bataliony zdań
W niewidzialnych parafian
Jak szczoteczkę do zębów
Jak pastę do butów
Oczyszczać ciało
Z węzełka grzechów.

3

Widziałem dziś na Księżycu dwu astronautów
Ubrani byli w białe nylonowe kombinezony
jak strzelcy wysokogórscy. Trochę może za ciepłe
jak na lato. Poruszali się ruchem odbitej piłki
lub jak dobroduszne powolne kangury.
Piasek nie szeleścił pod ich stopami
a jednak tak samo przesypywał się
na Księżycu nad brzegiem rawiny Hadleya
jak i u stóp góry Synaj.
Ale był ślepy i niemy od urodzenia.
Astronauci przybyli tam z Ziemi
Jej skrzela dały im życie
Cisza księżycowa była dla nich ciężka
dlatego mówili bez przerwy do siebie
Ich głosy elektryczność brała w delikatne palce
i niosła ku Ziemi. W ciszy tej czuło się trwogę
i ona trzymała mnie przed ekranem
jakbym swą obecnością mógł im w czymś pomóc.
Ot, zwykłe ludzkie uczucie. Gdy potem
przenosili się w nowe wysokości
nauczyli się odczytywać ich puste obszary.
W księdze tej gdzie się nic nie działo

odnotowywali swój przypadkowy pobyt.
Pielęgnowali oszczędnie każdy ruch
by się nie zwrócił przeciwko nim samym.
Słowa biegły z ziemi przez międzyplanetarny step
i czuwały nad nimi jak Oko Opatrzności
One nie traciły nic ze swojej mocy
gdy ludzie byli bezsilni.

Astronauci chodzili po Księżycu
przesiewając piasek. Wiek i tu
ukrył swe lata.
Może ktoś na Ziemi zdoła je odczytać
o ile wędrowcy powrócą do bazy
o ile wystarczy im tlenu i statek nie zabłądzi.
Życie ich zależy od przypadku
Od zwartości ściegu w ubraniu
Szczelności materiału
w którym uwięzione płatki tlenu
dają życie płucom. Jeden zły ruch
i wszystko się kończy. Ciało
traci kształt. Kości wychodzą
z łożysk. Mięśnie nieruchomieją.
I nawet wierne serce gubi rytm.
Bo po co mu dzwonić w sygnaturki krwi
kazać kroplom śpiewać
gdy próżnia zakneblowała im usta
odebrała mowę.

Dziś patrzyłem na świat od strony stworzenia
Na samotny glob dotknięty posuchą
Na jego powierzchni już nic się nie działo
Wieczność pokryła go lawą; Sahary tej
nawet kolor się nie imał.
Oko telewizyjne które nie kłamie
przebiegało w ciągu półtorej minuty
odległość od szczytu Hadleya
do Centrum podróży kosmicznych w Houston, USA
tak jakby to była zabawa w skakankę.
Może więc przestrzeń nie istnieje
tylko człowiek wymyślił ją na własny użytek

Może powietrze nasze jest ciężkie jak ołów
i dlatego trzyma się ziemi
a człowiek sądzi inaczej.
Jego krótki głuchoniemy ruch
pozwala astronautom rozmawiać z nami
twarzą w twarz
a jeśli tylko by zawiódł
to tak jakbyśmy spadali na Księżyc.

4

Dni nasze toczą się stromo
Czas zwiększa się — zmniejszając
I jest jak każda pewność wśród dzisiejszych złudzeń.

Tylko zdobyty na Księżycu piasek
Będzie o nas świadczył incognito.

Poniedziałek, 26 lipca —
Poniedziałek, 2 sierpnia 1971

MOI WSPÓŁCZEŚNI

Dumny jestem że jestem
że mam swój kosmos nad głową
a chociaż ciało moje nie do krzyżowania
lubię w ciemności gnuśne odległe planety.
Dzień mi do ucha szepcze tajemnice
nie zamulone przydrożnym piołunem
suche słowa otwierają zagojone rany.
A oni, choć tacy pewni siebie, oblatani życiem
nie mogą się uwolnić z pajęczyny dnia,
ich słowo obok nich przemyka się chyłkiem
ślepe, nie dotyka sedna spraw.
Stopa ich skrada się przy stopie
i tylko ciemność zatroszczy się o nich
i złoty dukat z fałszywej mennicy.

ROZMOWA

Rozmawialiśmy bardzo krótko;

Była noc a ja jak stary świecznik
czekałem w oknie aż księżyc się ukaże
potem o suchym gardle wyszedłem na dwór
gdy on przez zawieszoną ciemność powiedział
że źródła dawno wyschły.

Spojrzałem, jakbym zgłębiał artezyjską studnię
przez wypełnione lotnym piaskiem przyćmione powietrze.
Nie zauważyłem nawet że była burza
która musiała trwać dobrych kilka lat.
Studnia znikła bez śladu
żóraw który ruchem igły magnetycznej wyznaczał jej wnętrze
padł i chyba pogrzebał go piasek.

On patrzył mi w twarz jakby czytał z Tablic
U nóg jego sączyły się krople
żłobiąc w piasku niepokaźne dno
które poszerzało się dalej i zamieniało w Jordan.
U moich zaś nóg prócz pustyni nic więcej nie było.
Znikły cywilizowane miasta ogrody i pałace
muzea — wizje architektów;
zginął dom
wyschła studnia
wszystko dokoła odobecniało
jak jesienny liść.

Stałem przed nim
tak jak inni kiedyś
gdy na pustyni chleb rozmnażał w mannę.
Potem on uniósł kubek
ten sam co onegdaj
i rzekł:
moje źródło jest niewyczerpane

pij.

SŁOWO O SAMOTNOŚCI

Ziemia
Ziemia jest
Ziemia jest okrągła
Ziemia jest okrągła i krąży
Ziemia jest okrągła i krąży w powietrzu
Ziemia jest okrągła i krąży w powietrzu samotnie

Człowiek
Człowiek jest
Człowiek jest i krąży
Człowiek jest i krąży by żyć
Człowiek jest i krąży by żyć na ziemi
Człowiek jest i krąży by żyć na ziemi samotnie

Człowiek i ziemia żyją i krążą samotnie
Człowiek i ziemia żyją i krążą
Człowiek i ziemia żyją
Człowiek i ziemia
Człowiek

Ziemia

Samotność

POCHWAŁA RĄK

Żyję, wypełniony światłem. Chciałbym o nim powiedzieć wszystko
albo nic. Opisać je gdy jest we mnie. Wypełniony jestem
sobą, ja, o zmęczonej twarzy na której czas narazie
zapomniał osiwieć; ja, roboczy, o mocnych kościach
wypasiony na rodzinnym chlebie. Chyży jak łątka, skąpy
zawieruszony wśród własnych dwu rąk; ja, szczelnie
dopasowany do siebie. Ręce moje schylają się nade mną.
Osłaniają mnie.

Wypełniony jestem światłem. Promieniuję
nim. Światło mam w dłoni jak mnich Sebastian Thibaut
przepisujący w wieku szesnastym uczoną rozprawę; zajęty
odciskaniem rysunków na miedzi, gdzie głowy Platona
i Arystotelesa, patriarchów i świętych, do dziś cieszą
oczy. Kto mógłby z nas wejść w tamte czasy i wrócić
odszukać zakonnika Lodovico Flemalle, czasami profesora
i pedagoga De Instrumentis Sciendi, który ukończył
pracę Sebastiana.

Czy możemy dziś wyobrazić sobie
ile ruchów złożyło się na to jedno tylko dzieło
którego kaligraficznie wypisane strony zamykają
barokowe ozdobne winiety z przestrzenią wypełnioną
jasnością, a w niej prawdziwa Ręka trzyma wypisane
na pergaminie trzy słowa, mądrze przeciwstawiające się
ludzkim namiętnościom: Yo El Rey.

Czym jest słowo. Ręka utrwala jego kształt
gromadzi jutrznie liter, zamienia w symbole uratowanych
i utraconych. Czym jest słowo w obliczu strachu. Czym
ręka która je pisze.

(formy dantejskie mamy dziś pod ręką)

Widziałem ręce zajęte kopaniem. Widziałem jak otwarte
pola klękały krwawiąc (bo śmierć musi nastąpić gdy Forma
traci swój pierworodny kształt). Widziałem potem jak
w wulkaniczny krajobraz pól wtoczyły się pociągi.
Słyszałem sapiące płuca lokomotyw, ich stężony oddech
gdy mieszał się z iskrami rozgrzanych parowozów.

Widziałem jak wyładowanych ustawiano rzędem.
Nagły świst ołowiu
wniósł w tę scenę zwykły ludzki dramat. Jedni padali
twarzami przed siebie, inni wznosili oczy prosząc
Boga o coś, a niewierni, z wyciągniętymi w pustkę
ramionami. Ale nie widziałem by ktokolwiek prosił o
litość lub powoływał się na miłość bliźniego.
Gdy rowy wypełniły się ciałami, ludzie z łopatami wyrównali
ziemię
a ręce ogrodników posadziły na nich maskujące drzewa.
Tego dnia, ci co mieli szczęście posiadać rewolwery
wracali wieczorem do kwater śpiewając pieśń o
BRATERSTWIE LUDÓW

KARTAGINA

Dziwny to kraj
Ta nasza Kartagina
Jak medalion wiszący
U szyi Bałtyku
A schowany
Pod butem Rosji

Z niego prowadziły kiedyś
Drogi w Oświecenie
Do Rzymu
Do Florencji
W Norwidowski d o m

A dziś
Starym gościńcem
Wiedzie na Syberię

Dziwny to kraj
Smutny to kraj
Ciemny przedsionek

w Azję

W przepaść.

SONET DLA GOMBROWICZA

Czy tylko ziemia będzie umiała go przyjąć
Czy jej wargi dotkną jego treści
Jakim ruchem spocznie w klepsydrze
Czy go zmiażdży spadający czas.

Czy myśli jego zamilkną wraz z nim
Tak długo drążył je słowami
Że nie wiem czy potrafią same
Żyć bez grymasu ciała, bez osłody rąk.

A oczy wpatrzone w Młodość zwaną Formą
Czy potrafią teraz określić jej kształt
Gdy on sam uległ — zniweczony.

Jaką wartość ma ciało gdy traci swój kształt
A wyłuskane życie na jaką podąża Planetę
Jak mogą mówić słowa gdy nie mają warg.

JAKA SZKODA

Odwołaliśmy czas — jaka szkoda
słowo nas omija, papier szeleści
rozkłada ręce, mówi. przepraszam

litery z wargami przy uchu
coś szepczą
ale co —

nie ma już błyskawic
susza objęła ziemię
stalowe ptaki unoszą się jeszcze
i przysiadają na brzegu Księżyca —

człowiek tropi siebie
poluje na siebie
jest coraz mniejszy
i nie może się z tym pogodzić —

jaka szkoda —

czasem słońce stara się
wyciągnąć go za uszy
ciepły kiełek światła
podpowiada życie
biologia mnoży się z biblijnym zacięciem
ukryta nieśmiertelność daje znać o sobie —

kamień na nas patrzy
uśmiecha się twardo
czuć w nim siłę

(co za ból wiedzieć o tym
że się jest i nie jest)

poeta milknie
podrzyna rymom gardła
słowa piszczą jak jaszczurki
przydeptane śmiercią —

jaka szkoda
jaka wielka szkoda.

AUTOBIOGRAFIA

Ani jestem duży
ani mały
ot tak — w sam raz

niewątpliwie dla siebie
jestem trochę większy
niż jestem
i to dodaje mi
wewnętrznej pewności

z taką miarką na wyrost
można już wiązać się z życiem
które niestety
nie zawsze szło mi na rękę

nie wierzyłem słońcu
by mogło świecić
dla mojej wygody

a nawet gdybym chciał
nie mogłem

wolałem żyć na migi
w osłupieniu
bo jak inaczej mógłbym
zachować siebie
w zżerającym mnie
narastaniu klęski.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI OPUSZCZA LONG ISLAND

Jesteś sam
Biała mewa przewija zimny czas
Jest luty na Long Island.
Popatrz, ubywa słońca
Wkrótce pod naporem odlecą ptaki
Krzyk ich targa jeszcze wyludnione plaże
W których dogasa puls ciepłego lata
Lecz wiatry gdy nadejdą, odbiorą ziemi zieleń.

Tak, w tym otoczeniu już nic się nie dzieje
Poza wędrówką piasków pod wahadło fal
Ty też już nie masz chwili do stracenia
Zatrzymany, nieprzychylne opuszczasz wybrzeże.

Jest luty na Long Island —

Wieczorem zbłąkana mewa podchodzi pod okno
Jej skarga w krajobrazie przepełnionym żalem
Brzmi jak głos pani Bradstreet w jej zimowych trwogach
Albo krzyk dziewcząt palonych na stosie.

Tyś też miał w swej podróży gorzki smak lauru —

Mewa skomli za oknem, jej zgubiony głos
Budzi w pamięci zapomniane słowa
Są niby duchy, zwołują się w ciemności
Zanim im nadasz kształt i nasycisz treścią
Lamentujących gregoriańskich chórów.

Tak oto tu kończy się twój czas
Jesień wnosi zapowiedź zimy
A ty zasłuchany w jej głosy
Na jej gruzach, widzisz gruzy Warszawy.

Odjeżdżasz biorąc w drogę ochronny swój Kufer
Dlaczego. Może ściga cię ręka bezpieki
Lub goni oskubany nadwiślański słowik
Który uciekł, zmylił pogonie
A teraz na Zachodzie inne wdziewa piórka
I chciałby zostać orłem.

Tyś to wszystko przeczuł —

W domu na Queen's Gate Terrace, nad brzegiem Tamizy
Otworzysz Kufer pełny Muz
I będziesz nas obdzielał laurowym wianem.
Potem przewoźnik zapali latarnię
Weźmie z rąk twoich lutnię, stłumi słowa
I w ciszy żarłocznej jakby makiem siał
Obca ziemia przyjmie twoje ciało.

W porcie statek dostojnie kołysze się w biodrach
I czeka na cenne c a r g o by je zabrać na Olimp.

Tak cię wytropił ścigający czas
I jego wilczy apetyt

Gruzy i spustoszenia
Spustoszenia i gruzy.

CZYTAJĄC SZEKSPIRA

Nie, nie ma dziś
sensu, wyrywać ciała ze snu
jak nabój z łożyska
i rzucać je w codzienny
zwykły zamęt; nie ma
sensu żyć tak
i męczy pamięć stoma
naraz sprawami; nie ma
sensu wracać wieczorem
i kłaść się w tę samą
opuszczoną pościel; gasić
zmęczenie i prosić
o sen. Nie.
Spójrzmy jak żyją
dzisiejsi Hamleci
gdy nakładają hełmy;
na ich Ofelie
podczas pożegnania
na doskonale pięknych
Antoniuszów
opisanych
przez Szekspira
ze szczególnym
wdziękiem;
na ich wieczną urodę —
spójrzmy
wszak słowo nie truje
przeciwnie
czasem leczy
choć najczęściej rani;
na czarnego Otella
z głową Rzymianina
i jego Desdemonę —
patrzmy i słuchajmy
na przekór naszym
okolicznym sprawom;

jak Romeo raz jeszcze
żegna słodką Julię;
na obłęd króla Lira
na Makbeta i jego
żonę Lady Makbet;
wtedy przyznamy
że czas się powtarza
jego monolog krąży
jak słowa Dramatów
milczącym ruchem wchodzi
w nasze progi
gromadą wróżek-czarownic;
a wszystko w końcu zamyka
ogień i sentencja krwi
a nie klamra miłości —
wszystko kroczy przed nami
jak głowa Branka
Wszystko.

Królowie już odeszli
nastała znowu cisza.

TRAKTAT O LUDOŻERCACH

Oto traktat o Ludożercach:

Ludożercy mieszkają w dżungli
ich ręce zakończone ostrymi oszczepami
są jak kły dzikich zwierząt. Niestety
nie możemy się dziwić. Nikt ich
nie nauczył miłości bliźniego
nic nie wiedzą o Bogu. Stąd ta
drapieżność u nich i pragnienie krwi.

Dzisiaj, gdy cywilizacja sięgnęła już Planet
Ludożercy, mamy nadzieję, oduczą się pożerania ludzi.
Oby tylko Biali bracia nie wpadli w przesadę.
Pokusa wyostrzyła w nas nasze własne głody
może więc lepiej zjeść ofiarę
niż trzymać ją w więzieniu
i poddawać torturom.

Oto dlaczego boję się naszych czasów
bo natura w nich udrapieżnia ludzi
„nie słyszymy głosu ziemi pod stopami"
a ona przecież żyje. Jej ostry pazur
nie boi się Ludożerców.

Nie szukam już niczego i po nic nie sięgam
na bezimiennym Placu dzieją się sprawy nienasze
Nie wierzę że chodzę po ziemi
że moje kroki wydają jeszcze echo.
Ludożercy wyszli z dżungli, wdzieli białą skórę
nauczyli się nawet Dziesięciorga Przykazań
by nas chwytać na swoje lasso.

O ślepy, o omylny, o podstępny Losie.

MISTYFIKACJA

W domu zmarła staruszka
miała ponad sto lat —
siedziała zazwyczaj na ganku
i wodziła za mną krogulczym spojrzeniem.
Teraz kiedy w nocy wychodzę na ganek
mówię: przepraszam
nie na wszelki wypadek
ale naprawdę
gdyż wierzę że tam jeszcze siedzi
i to cały czas
bo zmarli nie śpią.
W dzień jej krzesło jest puste
i nikt go nie rusza —
mój puszysty kot
zwolna obchodzi je dookoła
i najwyżej dotknie nosem
drewnianych nóg — powącha
a potem szybko oddala się
widziałem nawet
jak niesamowicie sztywniała na nim sierść
jakby zobaczył ducha.
Czasem niewidzialny wiatr porusza krzesłem
wtedy z podłogi unosi się
złoty wibrujący pył
wyżej i wyżej
a gdy dosięgnie głowy
zatrzymuje się i patrzy na mnie
jest złoty
a jednak ma krogulczy wyraz
i niepokoi mnie.
Poczekaj — myślę
przyjdzie jeszcze czas
że odbiorę staruszce krzesło
i będę się w nim rozpierał
za wszystkie lata
a koty będą się mnie bały
jak diabeł święconej wody.

Z MOJEJ KSIĘGI RODZAJU

The last attendant is the same for all
Old men and young alike
....
No music and no dance
Death is the finish

Sofokles

Dom był w ogrodzie, dwa kroki od drogi
nad którą turkotały furmanki obłoków
po drugiej stronie nad zarosłym stawem
rosła wierzba — patronka ciszy. Nad głową
w dżungli nieba śpiewały skowronki;
niewiele miałem czasu, na wysokim ganku
który płakał żywicą i wzdychał do sosen
rodzice moi prowadzili słowa
trzymane w ryzach Dziesięciorga Przykazań.

Pamiętam głos ich gdy mówili do mnie
gdy dorośniesz położysz głowę za rodzinny próg;
wmówili we mnie bohaterstwo ś m i e r c i
wielkoduszność k l ę s k i
że małość to w i e l k o ś ć
że ubóstwo to b o g a c t w o
że śmierć to ż y c i e
wszystko w bolesnym odwrotnym porządku.

Niestety, nie mogłem sprawdzić ich słów
pierwsi odeszli rodzice
potem ci co nie mieli czasu zostać rodzicami
a ja zostałem sam. Były upały letnie
potem nadszedł Wrzesień.

2

Jest cisza. Na szczycie góry dzień upina słońce
w dole zaś jakby ciemniało od nadmiaru ludzi
tyle tam nas; pola zakorkowane krzyżami
odmiecione alejki wiodą w sytą ciszę
kwiaty o suchych papierowych wargach
nie przyjmują niczego poza drzazgą ciała.
Nawet zieleń tu sztywna z drutu i papieru.

W dole są jeszcze wysokopienne miasta
cementowe muszle basenów, asfaltowe ulice
i witraże ogrodów; w dole szumią wspaniałe
koncertowe ule wypełnione muzyczną materią.

W basenach błyszczą ciała, słońce sierpniowym
blaskiem poleruje wodę. Białe rakiety żagli
smukłym pawim piórem unoszą się w górę.
To młody Kolumb steruje z dziewczyną
na nie dokończoną lekcję całowania.

Samolot błyszczącym kutasem przebija powietrze.

W nadbrzeżnych plażach piana wybiela zatoki
śliskie ręce rzek łupią kontynenty, niszczą
odzież ziemi, niweczą drzewa. Śmierć. Tu
wśród obcych ulic i zaułków przystanęła
moja kometa, zabliźnia mi pamięć, ślady szubienic
koczują obok popalonych kości, kolorowe
motyle ulatują w powietrze wśród milczących
twarzy. Tu spada na mnie Mojżeszowa gwiazda.
Ziemia zamienia się w suchy węzeł krwi.

3

Potem spotkałem się z morzem. Była to wielka
i ruchoma przestrzeń wypełniona powietrzem
i odłamkami promieni pomnażanych przez fale.
Ptaków nie widziałem. Mewy chyba ukryły się
w pianie, jej drobne łupiny unosiły się
jakby na skrzydłach. W białych perłowcach
ukrywały się muszle. Wyglądały jak opuszczone
letniskowe domki. Zapukałem do jednego
nikt nie odpowiedział, drugi na mój widok
zamknął się z trzaskiem i nie odpowiadał
na moje pukanie. Wtedy z piany ulepiłem coś
na kształt chorągwi, jaką unoszą jeńcy
kiedy się poddają i czekałem gotów na tortury
byle tylko znaleźć odpowiedź.

4

Jest wieczór. Słońce upina na torsach domów
błyszczące staniki. Przepuklina ogrodu
drży, muszle liści wypełnia mrok.
Wkoło jak na barokowym wielkanocnym stole
ale naprawdę nic się już tu nie dzieje.
Wszystko czeka na skinienie Palca. Króliki
o długich uszach unoszą od czasu do czasu
swoje peryskopy, przysidają na tylnych
łapkach i łowią obce szmery. Mlecze o cienkich
szyjach czekają w naprężeniu ale nikt się
nie zjawia. Dwoje staruszków
przykucnęło przy studni; szukają własnych
twarzy. Ale studnia jest ślepa, na jej dnie
jest tylko zapomnienie. Biorą się potem
za ręce i drepcą w inną stronę. Ale tam też
już nic się nie dzieje. Zdziwieni
zatrzymują się jak semafor przed zadymioną
stacją aż różowy Palec uniesie się w górę.
Króliki pierwsze odbiorą ten sygnał.

5

Ale u progu tak zwanego czyśćca
co zobaczymy. Święty Piotr gruby jak
sierżant policji, z rewolwerem kluczy
za pasem, każe wszystkim ustawić się
rzędem. Tak jak się to robi w wojsku
lub w więzieniu i złożyć ziemski raport.
Ci w nowych ubraniach, prosto od krawca
będą chyba żałować wydanych pieniędzy.
Ubrania ułożymy w kostkę u wylotu stóp.
Patrząc na naszą bieliznę nie jeden się
uśmiechnie, tyle w niej pomysłowej mody.
Warga Piotra uniesie się i opadnie
ale nie wyda głosu. Wyuczonym zdaniem
każe zdjąć bieliznę. Kostki pod pianą
koszul tracą wojskowy rytm, ich bezład
dodaje nam cywilnej otuchy. Tylko
wstydliwe miejsca zasłaniamy dłońmi
zgodnie z zakorzenioną w nas moralną
zasadą. Ciała nasze są tak przestraszone
iż boją się zetknięciã z powietrzem. Ich
nagość nigdy jeszcze nie była wydana
na tak otwartą pastwę. Teraz u progu
tak zwanego czyśćca nie czują już w sobie
ani ewangelicznego żaru ani świętego
terroru, gdy słyszą głos Piotra:
Panowie, proszę do gazu.

A święty Piotr po wojnie uciekł do Egiptu.

6

Każdej nocy budzę się
w połowie wstrząsającego snu, nie wiedząc
czy jestem już po tamtej czy jeszcze po
tej stronie. Zanim otworzę oczy
widzę dwie postacie zjawiające się przy mnie
podobne do ogromnych w katedrze lichtarzy.
Ich obecność przygniata mnie. Jedna z nich
ta jaśniejsza, ubrana jest w postrzępioną
biel, jaką mają na wiosnę kwitnące jabłonie
lub zorze przebijające się przez chmury
i pióropusze deszczów; niby podobna do
marmuru, wiruje przecież i żyje. Podczas
gdy druga jest z kompletnej czerni. Nie wiem
nawet czy są one rodzajem przestrzeni
oddzielającej mnie od naszego czasu, który
w nocy zasypia razem ze mną
czy też formami moich przyszłych wcieleń.
Wiem jednak że są przy mnie, czuję ich
obecność. Nie poruszając się, widzę, jak
mnie prześcigają moje własne myśli
włączone w życie niby klęska w mechanizm
zwycięstwa. A choć stoją przy mnie, wiem
że nie muszą istnieć i posiadać kształt.
Patrząc na nich, pomyślałem, że i ja
muszę mieć jakiś kolor, którego nie zauważyłem.
Chciałem sprawdzić, wtedy postać (chyba
ta jaśniejsza) wyciągnęła rękę
paraliżując mnie. Nie mogłem poruszyć się
choć wiedziałem że mogłem się poddać.
Ruch ten, choć przyjazny, wywołał we mnie
protest i w tej chwili druga postać (chyba
czarna) uniosła nade mną część swojej
ciemności, usiłując odgrodzić mnie od
jasnej postaci. Scena ta nie zaskoczyła mnie
wcale, choć czułem że rzeczywistość
opuściła mnie, nie mogłem zrozumieć siebie
ani czasu w którym to się działo, albo

niby się działo jak w chemii, siłą innych
praw.

Ruchem którego natury nie odnotowałem
jedna z postaci starała się wejść we mnie
i opanować sieć zmysłów; pochyliła nade mną
lustrujące oko. Spojrzałem w nie
i zobaczyłem siebie jakby na ekranie
obraz do którego nie byłem przyzwyczajony.
Potem zaczęła się muzyka pomieszana z czasem
szum barwnych dźwięków włączył mnie w swoje
gamy, mogłem wszystko widzieć i zarazem
obserwować siebie. Widzieć i być widzianym.
Odczułem w sobie przeszłość i przyszłość
zarazem, wieloobecność i powszechność zdarzeń
nie kontrolowanych przez nasz rygor czasu
będąc zaś sobą, byłem i ich częścią. Uniosła
mnie waga połączonych naczyń, wśród narasta-
jących i odchodzących głosów wysunęła się
Dłoń na której złożyłem wszystko
co w życiu zdołałem ocalić —

Dogmat — moją pamięć.

WERSJA KOŃCOWA

Od jasności aż bolą oczy
Nie mogę wyjść do ogrodu bo ogrodu nie ma
Nad rzeką która wyschła od wielu już lat
Śmierć łowi upartych rybaków
Ich wędki zarzucone jakby od niechcenia
Zamarły w powietrzu.

Jest jeszcze nad głową księżyc
Jaskrawo-żółty, suchy jak od kości
Piasek jego zaszeleścił w próżni
I zaniemówił w ciszy po odlocie ludzi.

Cokolwiek chcę wam powiedzieć wy już wszystko wiecie
Nie ma tajemnic na wytartej szpuli
Która nas stale nawija jak nić.

Jest jeszcze we mnie pamięć której nikt nie strzeże
Słowa ukryte pod czapką niewidką
Jak księżyc poza zasięgiem lirycznych atmosfer
W które człowiek lunetą wchodzi i wychodzi.

Ta ziemia taka mądra a tak skołatana
Jasna a w ciemność biegnąca na oślep
Upiększona po szyję bursztynem płomieni
Nie ma już czasu cieszyć się sobą
Dąży do samobójstwa
Byt zamienia w niebyt.

Nie ma więc rzeki o której pisałem
Nie ma ogrodu. Leży w szczypcie prochu
Garść urodzaju potrzebna na chleb
Jałowieje odłogiem po buncie powietrza
Spalonego wybuchem. Nie ma przeto tlenu
W otwarte gardło weszły żrące gazy
Opróżniły je z życia.
Milczę całym ciałem.

* * *

Z jaką czułością przybliżam się słowem
do własnych myśli, układam je w zdania
śledzę początek kiełkowania w sobie —
łączę motywy. Najbardziej bolesny
to bezustannie wracająca ręka
która obnaża drzewa; to balkon
po drugiej stronie; to wstrzymany ruch
zaparkowanych rzędem samochodów:
szablonowe ich twarze z taniej blachy
z wytatuowanym numerem na czole.
Uciekam żółwim ruchem, odwracam od nich głowę
i czekam aż mnie doścignie i wchłonie ich czas...

SPIS RZECZY

	Str.
Lustro	8
Dwa miasta	9
Czyje to	12
Cisza	13
Co kto nazywa wierszem	14
I zanim oddech opisze jego kształt	15
Liryk	16
Chciałbym uciec bo trwoga niszczy	17
Plon	18
Rekolekcje	19
Dziedzictwo	20
Nagie jak kość	21
Dar	22
Z wczoraj na wczoraj	24
Experto Credite	25
Zamiast Epitafium	26
Fra Angelico dzisiaj	28
Statek kosmiczny Apollo 15 w podróży na księżyc. Trzy historyczne dni	29
Moi współcześni	34
Rozmowa	35
Słowo o samotności	36
Pochwała rąk	37
Kartagina	39
Sonet dla Gombrowicza	40
Jaka szkoda	41
Autobiografia	43
Kazimierz Wierzyński opuszcza Long Island	44
Czytając Szekspira	46
Traktat o Ludożercach	48
Mistyfikacja	49
Z mojej Księgi Rodzaju	50
Wersja końcowa	57
Z jaką czułością przybliżam się słowem.	58